



Nr. 16

2-go Maja

1912

FATALNOŚĆ.

(HUMORESKA).

Był jeden młody człowiek, któremu w oczy mówiono, co się zresztą często zdarza, że jest zdolny. I o którym, co się często zdarza, mówiono za oczy, że jest również zdolny... Zdał wszystkie egzamina, posiadał stopień naukowy, miał czoło wyniosłe, twarz myślącą, oczy rozumne, włosy długie, pierścieniami spływające na ramiona — jednym słowem, młody człowiek z sercem i głową, który... jeść sobie nie miał kupić za co... trudnił się dawaniami lekcji, ale trud nie był bardzo ciężki, bo lekcji nie miał żadnej... Jedynym więc jego zajęciem w chwili, kiedy go wprowadzamy na arenę powieściową (proszę przebaczyć szumnemu wyrażeniu — miłość autorska, jest... prawdziwą miłością...), było usilne staranie się o te lekcje.

Codzień czytał wszystkie inseraty wszystkich pism publicznych i... codzień kładł się spać głodny w zimnej izdebce...

— Przyjdzie w końcu do tego, że głodową śmiercią umrę pośród ucywilizowanego i oświeconego społeczeństwa — mówił do siebie nasz bohater. — Możeby lepiej raz już skończyć i w łeb sobie strzelić?...

Ba, żebym miał za co kupić rewolwer, tobym niepotrzebował życia sobie odbierać, bobym miał pieniądze... utopić się... nie podobna. — Rzekł zamknięte, studni niema — a bodaj z piekła nie wyjrzał ten, co wodociągi wynalazł!... Powiesić się... ale na czym?... na surducie — fizyczne niepodobieństwo... Pantalony... tak już stare i słabe, że oberwałyby się z pewnością.

Mógłbym się powiesić na koszuli, ale cóż, mam tylko jedną, tę, którą noszę na sobie — więc, chybabym się nago musiał powiesić...

Przy takim mrozie, z samego zima, nie mógłbym umrzeć, a potem, jakże tu się nago powiesić... nie wypada.

— A, niech dyasek trzaśnie — no, nie mam nawet sposobu, ażeby sobie życie odebrać!...

I w złości rzucił zmięty papier na brudny stół, na którym znajdowało się kawałek mydła, resztki pokruszonej bułki, złamany grzebień, stłuczone lustro i próżna butelka z szampana z łożową świecą w szyjkę...

— A dzisiejszy „Dziennik Narodowy?” Nie czytałem go jeszcze... I wzięwszy napowrót rzucony papier, rozwinął go i zaczął uważnie przeglądać ogłoszenia.

Po chwili zerwał się na równe nogi, twarz mu się rozjaśniła i krzyknął sam do siebie z radości:

— Jest! jest! zaraz biegnę! — i zaczął palto wkładać na siebie.

W „Dzienniku Narodowym” było takie ogłoszenie:

„Potrzeba natychmiast nauczyciela, któryby posiadał wyższe wykształcenie i jeżeli będzie posiadał odpowiednie uzdolnienie i kwalifikację, może się spodziewać przyzwoitego wynagrodzenia. — Adres i t. d.”

Nasz bohater (orzeczenie bez zarożumiałości przyjęte przez wszystkich powieściopisarzy) nie namyślał się ani chwili; chwycił za kapelusz i w kilka minut dzwonił już do mieszkania wskazanego w „Dzienniku Narodowym”.

— Tu potrzebują nauczyciela z wyższym wykształceniem? — zapytał służącej, która mu drzwi otworzyła.

— Nie, tu potrzebują tylko samego nauczyciela — odpowiedziała służąca.

— Ale, moja panno, ogłoszone jest wyraźnie z wyższym wykształceniem...

— A to ja muszę się pani zapytać, bo ja tylko wiem o samym nauczycielu; niech pan poczeka...

— To dopiero głupie stworzenie — mruknął kandydat na nauczyciela.

— Proszę pana do salonu — odezwała się wracająca subretka — pani zaraz wyjdzie, ubiera się teraz...

Młody człowiek wszedł do salonu i został olśniony przepychem i elegancją. Nic dziwnego: kto ma jedną koszulę, na której się nawet powiesić

nie może, na tym bogactwo silniejsze, jak zwykle, robi wrażenie....

Nasz bohater, któremu nazwiska ani imienia nie dajemy dla oryginalności, żywo zaczął przechadzać się po miękkich kobiertach i niechcący stanął przed wielkim zwierciadłem, oprawionem w pyszne złote ramy.

Teraz dopiero spostrzegł, w jakim nieładzie znajdowała się jego toaleta...

Naturalnie, mocno wytarty surdut, pomięta koszula i wypchane w kolanach spodnie, przy największej staranności krawieckiej, nie mogłyby już uleść żadnej metamorfozie na lepsze, ale rozczochrane na wszystkie strony włosy mogłyby być doprowadzone do jakiegoś takiego porządku, nawet za pomocą tego kawałka grzebienia, który się znajdował obok okruchów bułki, kawałka mydła i butelki ze świecą w szyjce. A jednak miał się przedstawić kobiecie, która, wnosząc z salonu, należała do eleganckiego świata. Miał się przedstawić, jako nauczyciel z wyższem wykształceniem, wyglądając raczej na kelnera i to z nie bardzo porządnej kawiarni...

— Ha, trzeba choć włosy przyczesać — pomyślał sobie — przecież to musi być kobieta rozumna, kiedy szuka ludzi z wyższem wykształceniem, na powierzchowność nie będzie zważała i zaczął szukać po kieszeniach od kamizelki owego kawałka grzebienia. W kieszonkach jednak, oprócz czterech „nikłów“, nic więcej nie było.

— Dyabli nadali, nie mam się czem przyczesać, zapomniałem wziąć grzebień....

Obejrzał się nakoło siebie.

Na konsoli, koło lustra, leżał maleńki grzebyczek, misternie ze złota wyrobiony. Nasz bohater zdziwił się niepomału, że grzebień robia ze złota, nie miał jednak długo czasu zastanawiać się nad tem, chwycił prędko złoty grzebyczek i zaczął przyczesywać potargane włosy, jak już wyżej powiedzieliśmy, długie i w kędzieroch na ramiona spływające. Zaczął się więc czesać z pewnego rodzaju nerwowym pośpiechem... Nagle, mały, złoty grzebyczek w tylnych pieścieniach włosów zniknął gdzieś bez śladu.

Z początku zdawało mu się, że uwiązł pomiędzy włosami, lecz jakie było jego zdziwienie, gdy poczuł go na gołym ciele, na plecach...

Złoty grzebyczek zaplątał się widać pomiędzy gęstymi zwojami tylnych włosów, po kilku poruszeniach głowy wpadł za kołnierz od koszuli i opuścił się niżej na plecy...

Położenie naszego bohatera było rzeczywiście fatalne... ni mniej, ni więcej, tylko mógł być wzięty za prostego złodzieja, bo na jego nieszczęście grzebyczek był złoty, zapewne faworytalny sprzęcik z gątowni samej gospodyni domu, przypadkiem w salonie zostawiony, którego brak bardzo łatwo mógł być w każdej chwili zauważony... A tu, jakby na domiar fatalności, nie tak łatwo było go wydostać, zwłaszcza, że lada chwila pani mogła wejść do salonu...

Wszelkie sięgania ręką za kołnierz nie doprowadziły do żadnego rezultatu — przeciwnie, grzebyczek opuścił się jeszcze niżej...

— A to piękna historia, jak Boga kocham! — mruknął do siebie młody człowiek.

Środków nie wiele było do wyboru. Nie namyślając się długo, stanął, jak to powiadają, dębem i opierając się rękami o podłogę, kręcił szyją na wszystkie strony, trząsał nogami, ruszał plecami, chcąc w ten sposób wytrząsnąć fatalny grzebyczek z za kołnierza. Środek jednak ten okazał się bezskuteczny. Grzebyczek opuścił się jeszcze niżej...

Chodzenie po podłodze spowodowało tylko większy nieład w mizernej toalecie młodego człowieka, a długie i gęste włosy, rozczochrały się na wszystkie strony...

Nie chciał przecież stracić ani jednej chwili i przypomniawszy sobie całą zręczność łyżwiarskiej praktyki, zaczął po kolei, to lewą, to prawą nogą robić rozpaczliwe rzuty, myśląc, że może przez nogawicę od pantalonów wyleci nieszczęśliwy grzebyczek.

Ale i to na nic się nie zdało...

To już doprowadziło go do rozpacz, tembardziej, że na dobitkę wszystkiego, niepodobna było zdjąć żadnej części ubrania, bo w takim negliżu mogłaby go zastać w salonie pani domu i Bóg wie, coby z tego wyniknąć mogło...

W rozpacz nie dziwnego, że opuściła go zupełnie przytomność umysłu i że jak należy, nie mógł się zastanowić nad swoim położeniem, z którego jedynie zimna krew mogła go wybawić...

Rzucił się więc na wszystkie strony, trząsał nogami, machał rękami, wyginał się, przybierał najnienaturalniejsze pozycje, których pozadrościłby niejeden ekwilibrysta i nareszcie z całą gwałtownością stanął do góry nogami...

W tem drzwi się otworzyły i do salonu weszła pani domu, kobieta młoda, piękna w całym znaczeniu tego wyrazu...

— Jezus Marya! — krzyknęła w niebogłosy — co to jest!...

Ale nasz niefortunny bohater tak zajęty był wytrząsaniem przekłętą grzebyka, że stojąc do góry nogami, nie tylko nie widział, iż do salonu weszła kobieta, ale nawet nie słyszał jej wykrzykników, i nie przestawał dalej chodzić rękami po podłodze.

(Dokończenie nastąpi).



TRUDNE POZWOLENIE.

— O czym tak zamyśliłeś się?

— Widzisz... chciałbym się żenić z panną Maryą, i nie wiem, czy dostanę pozwolenie.

— Od jej rodziców?

— Nie, od moich... wierzycieli.



BYKA ZA INDYKA.

— Ale panno Kazimiero, lok, który pani nadesłała, nie jest wcale z pani głowy!

— Wiersz, który otrzymałam od pana, również nie pochodził z pańskiej głowy.



U LWOWSKIEGO DEKADENTA.

- Czy zastałem pana Deliriumkiewicza?
 — Jest, panie, ale widzieć się z nim nie można,
 bo — pije.
 — Co?
 — Jakto: co? — wódkę.
 W trzy godziny później.
 — A teraz można widzieć się z p. Delirium-
 kiewiczem?
 — Żadną miarą, bo akuratnie bije.
 — Kogo?
 — Jakto: kogo? — żonę!



UWAŻAJACY.

- Cóż u licha! Nie zwracasz mi pan 100
 marek, a nawet nie spłacasz miesięcznymi ratami
 po 10 marek, jakieś mi to pan sam zaproponował?
 — Uważa pan... Myślałem sobie: lżej przy-
 dzie panu tracić po 10 marek miesięcznie!



W SZKOLE.

- Co robił pierwszy nasz rodzic Adam w
 raju?
 — Narzekał, proszę pana profesora.
 — A to czemu?
 — Bo goły był.



SKRZYDŁA.

- Świeżo zubożony „magnat“ konferuje z archi-
 tektem nad budową pałacu, jaki zamierza wzniesić
 w świeżo również nabytych dobrach. Architekt
 proponuje gmach główny, jako całość w sobie.
 „Magnat“ upiera się przy skrzydłach.
 — To będzie okazalej!
 — To prawda — powiada architekt — ale, gdy
 się znajdą okazałe skrzydła, majątek łatwiej może...
 ulecieć!...



DOWCIPNA CESIA.

- Cesia zajada jabłko i krzywi się okropnie.
 Matka: Rzuć to jabłko, kiedy takie kwaśne.
 Cesia: Jabłko jest bardzo dobre, proszę ma-
 musi, ale ja się umyślnie krzywię, żeby mi go bra-
 ciszek nie zabrał.



PRZY ASENTERUNKU W GALICYI.

- A cóż tobie brakuje? Chłop jesteś jak lew.
 — Tak... ale mam krótki oddech i wzrok mi
 nie chce służyć.
 — I ty także nie chcesz — co? Tauglich (zdol-
 ny!)...



SUBTELNOŚĆ.

- Przyszły teść chce się dowiedzieć o dochodach
 przyszłego zięcia, i w tym celu pyta jego praco-
 dawcy, właściciela sklepu galanteryjnego.
 — Czy może mi szanowny pan powiedzieć
 wiele bierze u niego pan Iksiński?
 — Mój panie — odpowiada pryncypał — ja
 wiem ile mu daje, ale nie mogę wiedzieć, wiele on
 bierze, bo gdybym wiedział, tobym go dawno wy-
 pędził.



DLATEGO!

- Jestem zdumiony, że twój ojciec zezwolił
 na nasze małżeństwo.
 — O! on ciebie nie zna tak dobrze, jak ja.



ZŁOŚLIWIE.

- Co pan powie o pannie Laurze?
 — Wysoko cenię w niej jedynie — wiek.



ZAPATRYWANIE DZIECKA.

- Ile ma lat twój dziadek, Helenko?
 — Nie wiem, ale mamy go już bardzo długo.



ZAPRACOWANA.

- Powiadasz, że pani sędzina jest zapracowa-
 na; czemże ona się zajmuje?
 — Cudzemi sprawami.



BRAK ZDOLNOŚCI.

- Podobno kobiety są bardzo zdolne do r-
 chunków.
 — Wątpię, moja żona rodziła się w 1875 roku
 a wciąż powtarza, że ma 25 lat.



KRÓTKO I WEZŁOWATO.

- Chory: Panie doktorze, przy jedzeniu mam
 zawsze ogromny ból żołądka.
 Lekarz: Hm... no, to najlepiej pan nie jedz!



Przed laty kilkudziesięciu ożenił się w mieście
 Białym stoku pan Wróbel z Panną Czyżówną, miał
 furmana Sikorę, kucharkę Sroczyńską i mamkę
 Skowronkową.



SYNEK LEKARZA.

Niańka: A mówiłeś już pacioremk?

Jaś: Już.

Niańka: A prosisz na końcu o zdrowie dla mamy?

Jaś: Tak.

Niańka: I dla taty?

Jaś: Tak.

Niańka: I dla wszystkich?

Jaś: O nie, bo tatko nie miałby roboty.



NA ULICY.

Pijany: Przepraszam, czy panienska nie wie, gdzie mieszka Jan Walczak?

Służąca: Przecież to sam pan jesteś.

Pijany: To... to ja wiem, ale nie wiem, gdzie mieszkam.



TAKA CHOROBA.

Lekarz (do pacyenta): No, jakże tam z pańskimi oczami? Przykładałeś pan spirytus do oczu?

Pacjent (nałogowy pijak): Panie konsyliarzu, przepis mi pan inne lekarstwo... Dalibóg, ja wódki wyżej, niż do ust, nie zdołam podnieść.



ANECDOTY.

Do pewnej restauracyi na Krakowskim przedmieściu w Warszawie wszedł jakiś gruby jegomość z trojgiem dzieci, a zajmwszy miejsce przy stoliku i obstarławszy sobie piwo, zapytał:

— I cóż moje dziecieczki? czy zjadłybyście co? O tak! — Chcecie po kotleciku? — Chcemy! chcemy! — Kelner: prędko! raz, dwa, trzy kotlety, wie-przowe, dla mnie proszę o dwa!... razem pięć!...

Niedługo zjawily się żądane kotlety.

— Tak moje dzieci! zjadajcie smacznie! A może chcecie bułek do tego? — Tak jest! bułek! — Kelner, bułek!

Milczenie przerywane uroczystym brzękiem widelców... Ostatecznie zjedzono kotlety. Dzieci miała rozawielone twarzyczki.

— A może chcecie jeszcze? Kelner kotlety! tak samo jak było!

Gość dostał właśnie świeżą szklankę piwa, gdy podniósł się od stołu wziął kapelusz i laskę i rzekł do dzieci:

— Bądźcie dzieci grzeczne, ja zaraz tu wracam, nie tylko po cygara dla siebie! — Dobrze!

Upływa 5 minut, kwadrans, pół godziny — gość nie wraca. Wreszcie gospodarz odzywa się do dzieci:

— Ale to długo siedzi wasz ojciec!

— To nie jest nasz ojciec! Bawiliśmy się tu na ulicy, aż przychodzi jakiś pan i mówi do nas:

Dzieci! czy będziecie jadły kotlety? a my na to: będziemy! będziemy! Na to rzekł do nas ten pan: No to chodźcie ze mną! No i przyszliśmy z nim tutaj...



Dwóch krakowskich andrusów spotyka się pod Sukiennicami.

— Antik! — wrzeszczy pierwszy, — cóżes ty, to awanzował na ekspresa?

— Tak — odpowiada zainteresowany. — Mój lekarz przepisał mi dużo ruchu na świeżem powietrzu!... Ale co to znaczy, że ciebie Kantik tak dawno nie widziałem?

— Ano, bo mój lekarz zapisał mi znowu spoczynek i spokój!... To też sobie spoczywałem bez pół roku w pañion de Krymina!...



W restauracyi pewnego transatlantyckiego parowca siedzi kapitan i woła:

— Kelner!... Dla mnie pieczeń ze sosem śmietanowym!

Kelner (po chwili, przynosząc jedzenie): Sługa pana kapitana!

Kapitan: Co? to ma być śmietanowy sos? W takim razie jechałem z Nowego Jorku do Hamburga w samej śmietanie!...



W pewnej galicyjskiej wiosce mówi w szkole nauczyciel do ucznia:

— Janek wstań z miejsca!... Powiedz mi jakiś przykład formy biernej!

Janek wstaje, robi głupią minę i nie umie odpowiedzieć.

— No, Jasiu! pomyśl trochę! Na przykład: Ojciec błogosławi sześcioro dzieci!... Czy to jest forma czynna, czy bierna?

— Nie, to jest forma czynna! — wrzeszczy Janek.

— Dobrze, — mówi nauczyciel tonem uznania. — Kto mi powie to samo w formie biernej?

Janek znowu nie wie, natomiast Michaś wyciąga palce do góry.

— No, powiedz Michasiu!... Jak będzie brzmiała forma bierna?

— Ojciec został pobłogosławiony sześciorgiem dzieci!...



Jakiś starszy, elegancki pan przyjechał do Krakowa i na dworcu zauważył swego dawnego służącego, zajętego przesuwaniem wagonów.

— No, no! — zadziwił się, — ładne masz teraz zajęcie, mój kochany!

— Tak jest, wielmożny panie! — odparł chłopak nieco zaambarasowany, — ale ja przesuwam tylko wagony I i II klasy!

